

<http://rcin.org.pl>







JERZY ROGATY.

# SEJMIK

OPOWIEŚĆ KRESOWA Z DOBY OBECNEJ



*nr. 100.*

WARSZAWA                      1925  
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI  
PERZYŃSKI, NIKLEWICZ I S-KA

<http://rcin.org.pl>



JERZY ROGATY.

# SEJMIK

OPOWIEŚĆ KRESOWA Z DOBY OBECNEJ

Przyjałołom, którzy z poczucia obowiązku i miłości Ojczyzny w szeregach polskich służą, tę pracę poświęcam.

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-240 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

WARSZAWA ————— 1925  
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI  
PERZYŃSKI, NIKLEWICZ I S-KA



---

DRUK PIOTRA LASKAUERA.

*2886*  
<http://non.org.pl>



## I.

W Wielkopolsce, w mieście Rawiczu, w obszernej willi, otoczonej kwietnikiem, do którego przylegał wzorowo w szpaler prowadzony sad owocowy, siedział student w zacisznej bibliotece i pracował. Godzina była przedpołudniowa; przez otwarte okno promienną, złotą falą wpływała wiosna, świegot ptaków i zapach bzu zlewały się w harmonijny, majowy akord. Do biblioteki weszła pani domu w białym fartuszk, z kluczami w ręku i, pieszczotliwie kładąc rękę na ramieniu syna, pytała:

— Stachu, ty, co wiesz wszystko, powiedz mi, gdzie leży ten Hańsk, do którego Franio został komenderowany... to gdzieś bardzo daleko?

Pogodne zwykle oczy matki patrzyły fraso-bliwie gdzieś hen! w dal...

— Hańsk — mówił syn — leży na samej rubieży kresów wschodnich, ale zaraz mamie powiem

szczegółowo. Niech mamusia siądzie wygodnie i choć przez chwilę odpocznie.

To mówiąc, wstał i wyszukał odpowiedni, znaczony literą H tom „Słownika Geograficznego”. Czytał: „Hańsk, dobra nadane rodzinie Ostyków przez Kazimierza Jagiellończyka. Jerzy Ostyk, Chorąży W. X. L. fundował tu w r. 1651 kościół murowany pod wezwaniem św. Jerzego. Prawnuk poprzedniego, Mikołaj, Wojewoda Trocki, wystawił obszerny obok kościoła klasztor, w którym OO. Pijarów osadził. Szkoły OO. Pijarów w Hańsku promieniowały ongi na całe Województwo Nowogródzkie. Dawny, obronny zamek Ostyków został w r. 1709 przez Szwedów wysadzony w powietrze i zrównany z ziemią. W Hańsku ujrzał światło dzienne Jerzy Ostyk, poseł Województwa Nowogródzkiego na Sejm Wielki, jeden z twórców Konstytucji 3 Maja. Po roku 1863 Hańsk rząd rosyjski skonfiskował. Od r. 1873 Hańsk został miasteczkiem powiatowem, liczącem mieszkańców...”

— Już wiem — przerwała matka. — Daleko... daleko!...

Dziwnie melancholijnie wyraz „daleko” w ustach jej zabrzmiał. Było li chwilowe przemieszczenie starszego syna, rotmistrza do odległego garnizonu smutku jej przyczyną, czy odległość

epoki?—epoki, w której wśród ciemni wad narodowych wielkie porywy i bohaterstwa złotem pasmem jaśniały, lśniły postacie, jak pas Słucki barwne, myśl skupiały poświęcenia dla sprawy ojczystej, krwią rośne, męki stygmatem opieczętowne...

. . . . .

A w tej samej chwili rotmistrz, przez matkę „Frankiem” pieśczośliwie zwany, załatwiwszy zlecenia służbowe, jął oglądać powiatowe miasteczko Hańsk. Szedł brudną ulicą, co chwila potrącany przez akulturalny tłum, którego wygląd i sposób zachowania raził go, przywykłego do porządków zachodnich, dzikością, połączoną z apacją, arogancją, połączoną z serwilizmem. Pod przykrem wrażeniem, chcąc się ze środowiska cuchnącej zgrai wycofać, skreślił w pod górę idącą uliczkę, na rogu której widniał napis: „Ulica Zamkowa”. Za chwilę stanął na końcu uliczki, na obszernym placu; gdzie zieleniał brzydko zarysowany skwer, stało kilka ławeczek i gdzie coś szumiało poprzez powietrzną, błękitną fałę, w dal i z dali płynącą. Przeszedł skwer i stanął na urwisku. W głębi płynęła rzeka Struha, a za nią złościły się kwieciami, zieleniały trawą, srebrzyły się rozlewem, — jak pieśń i tęsknota bezbrzeżne — Hańskie Łąki.

Lecz sztabowy oficer polski, choć cały urok krajobrazu odczuł, miejscowość jako fachowiec badać zaczął, i w mgnieniu oka zrozumiał, że tu stać musiał ongi zamek obronny. Odkrył natychmiast dawny zarys fos, kontury wałów i baszt i gdy tak patrzył, — rozegrała się, rozwichrzyła się, jak stepowy rumak, jego żołnierska fantazja...

Zoczył ćmę Tatarów i naszą skrzydlatą konnicę... Słyszał tętent, chrzęst zbroic... gdy nagle wesoły śmiech dzieci, wracających ze szkoły i harujących po skwerze, wizję rozpędził. Coś jednak ku tej przeszłości ciągnęło go. Spytać?...spytać kogo?... kto mu w Hańsku o Hańsku opowie?... Powiódł wokoło wzrokiem i dziw!... odpowiedziały mu na pytanie dwie smukłe, barokowe wieżyce: „My jedne”, mówiły, „świadczyc możemy, my jedne.”

Szedł ku kościołowi, zadumany, ulegając jakiemuś czarowi przeszłości, jakiejś wizji dawnego, polskiego posłannictwa, jakiemuś głosowi, co bohaterską, a tak przedziwnie polską snuł klechdę...

Uczucie to się wzmogło, gdy stanął w sklepionej, w barokowe stiuki zdobnej zakrystji i „kościelny” mu pod szkłem oprawny, dawny akt fundacyjny pokazał:

„DOM TEN BOŻY  
NA ŚWIADECTWO OPIEKI I WSZECHMOCY  
BOŻEJ, ORAZ OFIARNOŚCI I WYTRWANIA  
DUCHA POLSKIEGO WZNIESION,  
NIECH W WSZECH DNIACH NAWIEDZENIA  
I WŹDY,  
SKUPIAJĄC PRZY SOBIE WIERNYCH,  
JAKO OPOKA I TWIERDZA, NA SZLAKACH  
BARBARZYŃSTWA POSTAWIONA,  
OSTAWA.“

— Tu leży fundator? — zapytał rotmistrz. Kościelny wskazał mu przeciwległą zakrystji ścianę i rzekł: „Wejście do grobowca z dziedzica”.

Wyszedł tedy, coraz więcej zadumany, pan rotmistrz na dziedziniec kościelny i ledwie teraz wpadł mu w oko napis:

„GEORGIUS OSTIK, VEXILLIFER M. D. L.  
ANNO DOMINI 1651 AEDIFICAVIT.”

Zwrócił na lewo. Znowu zaszumiały wody Struhy i znowu rozpostarły się łąki. Patrzyły na nie z góry kamienne płyty, w ścianę kaplicy grobowej Ostykowskiej wmurowane. Starsze napisy, łacińskie przeważnie, były już nieczytelne, nowsze zaś różne daty epoki ubiegłej uwydatniały, które już same w sobie bohaterką były epopeją kresów. Leżał tu:

„MIKOŁAJ OSTYK,  
WOJEWODA TROCKI,

ur. 1717 † 1772

ROZDZIAŁEM KRAJU ŚMIERTELNIE RAŻONY.”

Leżała tu obok niego małżonka:

„ANNA Z KS. NA RAFAŁOWIE I HOŁOWCZYNIE  
HOŁOWCZYŃSKA”.

wraz z mężem fundatorka klasztoru OO. Pijarów.

Leżał tu ich syn i spadkobierca Jerzy, poseł  
na Sejm Wielki i żona jego Michalina Wołowi-  
czówna i syn jego Michał, pod Grochowem pole-  
gły.

Skromna, najnowsza stosunkowo tablica o-  
piewała :

PAMIĘCI  
SPOCZYWAJĄCEJ TU,  
CNOTAMI I UROKIEM JAŚNIEJĄCEJ,  
PRZEDWCZEŚNIE ZGASŁEJ,  
TERESY Z WOYNÓW-JASIEŃIECKICH  
MIKOŁAJOWEJ OSTYKOWEJ  
1832—1869

MIKOŁAJA OSTYKA,  
UR. 1823 W HOŁOWCZYNIE,  
† 1865 W NERCZYŃSKU.  
CZEŚĆ BOHATEROM!

Tablice umieszczone były dość wysoko, nad szeregiem nieobciosanych głazów granitowych, tworzących odwieczny fundament świątyni; w środku kaplicy grobowej drzwi żelazne, zardzewiałe prowadziły do krypty. Czyjaś ręka zasadziła tu i utrzymywała kwiaty, które teraz rozkwitały: białe narcyzy i ciemne bratki.

Cicho tu było. Ludzie o tym zakątku nie wiedzieli... jeno słoneczna zaduma złościła, a w zmierzchy liljowe rosa płakała nad zapomnianą i zapoznaną kartą historii tego kraju. Fundacja szkół OO. Pijarów, Sejm Wielki, udział w dwóch powstaniach mówiły o ścisłej łączności tego zakątka ziemi z sercem Kraju. „O łączności?” — dumiał rotmistrz — „nie! ci ludzie byli dla kraju wzorem, przykładem, duszą duszy...” i szedł powoli ku furcie kościelnej.

— Pan nie tutejszy? — zabrzmiał głos kościelnego.

— Nie, jestem z Wielkopolski. Czy nie wiecie przypadkiem, gdziebym mógł znaleźć pokój na miesiąc czysty i spokojny? W żydowskim hotelu mieszkać przykro.

— Słysząc, że ze „dworku” lokator się wyprowadził; może w dworku.

— W jakim dworku?

— Ja panu pokażę, — podszedł do furty

i ręką wskazał niski, stary, murowany budynek, stojący trochę odosobniony na końcu ulicy Piarskiej.

— Niech pan tam spyta, czy gospodarz odstąpił pokój.

Chwilę później stał rotmistrz przed budynkiem, który był nawpół ruderą, nawpół pałacem i szedł ku drzwiom głównym. Okna w środkowym korpusie były wielkie, sufity wysokie, mieszkanie zdradzało nie tylko dawny dobrobyt, lecz dostojność. Stał, potem zwrócił ku odrapanej oficynie na lewo, gdy nad drzwiami korpusu głównego napis „Szkoła Powszechna” zoczył.

We drzwiach oficyny stał człowiek bardzo stary, wysoki, o ostrych, ale pięknych rysach twarzy i trzymał list w ręku, wręczony mu przed chwilą przez odchodzącego listonosza. Widząc wojskowego, rozglądającego się po dziedzińcu, uprzejmie i wyczekująco zwrócił się ku niemu.

— Mówiono mi, że jest tu pokój do wynajęcia? — pytał rotmistrz i nagle instynkt wyraźnie nakazał mu przedstawić się skromnie ubranemu panu, lokatorowi, czy może właścicielowi tego pałacu-rudery, nazwanego „dworkiem”.

— Jestem Farnciszek Skrzypniewski, rotmistrz 18 pułku ułanów. Ukłon wojskowy towarzyszył tym słowom.



— Jerzy Ostyk.

— Ostyk? — pytał rotmistrz, — wracam z kościoła, czytałem akt fundacyjny i widziałem...

— Imiennicy — przerwał tamten i, zmieniając tok rozmowy, mówił: szuka pan pokoju? od jutra mogę służyć; proszę wejść, zobaczyć.

W oficynie było ubogo, lecz schludnie. Przeszli się i weszli do wielkiego pokoju, wkoło którego biegły półki dębowe, wypełnione książkami. Niektóre z nich uderzały gustowną oprawą, starem, kunsztownem złoceniem ozdobioną. Pod oknem stało biurko, proste na pozór, ale przypatrzywszy się, oko dostrzegało przedziwnie delikatną i misterną inkrustację, która piękny kontur biurka i moc szufladek drzewną mozaiką zdobiła. Reszta sprzętów nie przedstawiała nic ciekawego. Jedne drzwi prowadziły do pokoju gospodarza, drugie do owego pokoju, mogącego być wynajętym od jutra. W okna uderzały lekko gałązki, rozkwitłych w ogródku czereśni, ściany były białe, sprzęt ubogi, ale swojsko tu było.

— Co za różnica z żydowskim hotelem, — myślał rotmistrz i gdy gospodarzowi chęć wynajęcia pokoju wyjawiał, umowa w kilku słowach została zawarta.

— Pozwoli pan zapalić papierosa? — pytał rotmistrz, — przepraszam za śmiałość, alem dłu-

go był w kościele i na kościelnym dziedzińcu, więc ulegnę nałogowi, o ile tem panu przykrości nie sprawię.

— Bynajmniej. Niech pan rotmistrz wygodnie w fotelu przed biurkiem usiądzie. Ja tam każę dziś jeszcze wybitą szybę wstawić, siennik świeżem napchać sianem, podłogę wymyć. Szczęśliwy jestem... — mówił gospodarz.

Jaka spójnia była między tymi ludźmi, którzy o egzystencji swojej przed chwilą nie wiedzieli? Łączyła li ich wspólność odwiecznej, zachodniej kultury? Walczyli przodkowie ich w jednym szeregu pod Wiedniem, ba! może pod Grunwaldem?...

Rotmistrz palił papierosa, mrużąc oczy, w okna czereśnie uderzały kwieciami, gdzieś w sadach wabiły się wilgi...

— Pan z tych stron — zaczął rotmistrz, — pan musi wiele rzeczy wiedzieć, pamiętać. Ja jestem przybyszem, jestem tu od wczoraj, a jednak już uległem czarowi tego kraju. Nie przeczę, że główny jego urok tkwi w przeszłości. Zna pan zapewne z opowiadań dzieje Hańska? byłbym wdzięczny, gdyby pan mi coś opowiedział...

— Dziwne zrzączenie losu sprawiło, że pan rotmistrz trafił do mnie, bo prócz mnie — a liczę dziś lat 77 i prędko mnie nie stanie — nikt nic nie

wie i wiedzieć nie chce. Poświęciłem przeszłości tego kraju trochę pracy: ongi wydaną została monografia Hołowczyńskich i zarys historyczny fundacji zakonnych. Ale...—tu machnął ręką... kościół jeden na świadectwo przeszłości ostawa, lecz i ten potrzebuje naprawy, bo inaczej w gruz się rozsypie.

— Ale od czasu odrodzenia Polski musiało tu rozpocząć się nowe życie: starostwo, garnizon...

Pan Ostyk machnął ręką.

— Czy może pan rotmistrz sobie wyobrazić jakąkolwiek szkołę, prowadzoną bez miłości działy, bez ukochania uczącej się młodzieży, lub żołnierza, którego się w miłości Ojczyzny zaprawia i kształci?... Oni... niechętni są dla tej połaci kraju... przeszłości, że była inną, nienawidzą... a ludem... gardzą! Rzekomą „demokrację” mają na ustach... w rzeczywistości zaś oszukują siebie i społeczeństwo... — a ludność to rozumie!

— Czy pan niezbyt czarno patrzy?

— Jeden przykład wystarczy... Rozporządza pan rotmistrz chwilą czasu?

— Niech pan mówi.

Drugiego papierosa zapalił i słuchał uważnie. Interesował go ten kraj, bo był częścią nierozłączną Polski, której służył, którą miłował.

— Klucz Hański, w połowie XVIII wieku z wianem ostatniej Hołowczyńskiej połączony, tworzył rozległe dobra. Ostykwowie rezydowali o kilka wiorst od Hańska, w blizkim Hołowczynie, po spaleniu zamku Hańskiego przez Szwedów. Wszystkie dobra te zostały po 63 roku skonfiskowane. Na szczęście klucz Hołowczyński na tyle ocalał, że nabywca, choć prawosławny, (dzięki czemu mógł dobra kupić, nie tylko był polskiego pochodzenia, ale polakiem z głębi duszy. Nowy dziedzic Hołowczyna, p. Aleksander Andronowski, był inżynierem. Wielki pałac w Hołowczynie w fabrykę przetworów drzewnych przekształcił, lasy sam eksploatował, tartaki postawił; mało tego! tajne szkółki polskie założył... zaś po manifeście 1905 roku oficjalnie wrócił na łono kościoła katolickiego. Można bez przesady powiedzieć, że dobra i fabryki Hołowczyńskie utrzymywały znaczną część ludności tego powiatu. I lud nie tylko miał zarobek, ale Hołowczyn dawał ludziom w rękę rzemiosło, fach, kształcił i podnosił.

Wybuchła wojna. Pan inżynier Andronowski dawno nie żył. Majątek i zakłady przemysłowe prowadził jego syn, — zawsze w duchu ojca; jeśli dziś są rzemieślnicy — chrześcijanie w Hańskim powiecie, to zasługa właścicieli Hołowczyna. Niestety, młody pan Andronowski był oficerem

zapasu wojsk rosyjskich i poległ przy jeziorach Mazurskich. Pozostały dwie córeczki, wychowujące się dziś u Niepokalanek w Szymanowie.

W czasie wojny wojska rosyjskie i niemieckie rekwirowały mosiężne i miedziane części maszyn, ale wiele z nich zostało nietkniętych. Nie wielkie stosunkowo pieniądze mogłyby uchronić ten ogromny warsztat pracy, dobrobytu, kształcenia i podniesienia ludu...

— I fabryk nie uruchomiono? — zdziwiony pytał rotmistrz.

Pan Ostyk znowu machnął ręką.

— W budynkach fabrycznych mieszkają osadnicy; jak mówią, sprzedają żydom miedź i mosiądz.

Może to plotki... W lasach gospodaruje biuro „Odbudowy”... a ludność bez zarobku przymiera głodem...

Tu się pan Ostyk zasapał i długo ciężko odychał, oczy mu krwią nabiegły.

Rotmistrz skoczył i podał mu szklanę wody. Na ziemi leżał list, przed chwilą wręczony przez listonosza. Rotmistrz list podjął.

— Zmęczyłem pana pytaniami, nie chcę dłużej nadużywać jego gościnności i żegnam — mówił rotmistrz.

Lecz tamten trzymał go za rękę.

— Nie, nie! — ja nie mam nikogo, nikogo, przed kim mógłbym się wygadać... zresztą niech pan teraz idzie, ale proszę wrócić wieczorem — znów się zasapał — dowiedzieć się, czy żyję.

## II.

Wyszedł rotmistrz z dworku i spojrzał na zegarek. Do obiadu miał jeszcze godzinę, więc zwrócił w stronę placu ongi zamkowego, siadł na darni i myślał. Pierwszy raz w życiu zetknął się z rzeczywistością wielkiej i tragicznej epopei powstańczej.

O tej karcie historii bohaterskiej i już prawie zapomnianej nie wiedział w młodej Polsce prawie nikt. Nicią przewodnią snuła się ona poprzez dzieła wielkiej miłośniczki owej epoki i kresów — Elizy Orzeszkowej, przyłgnęła czasem pieczęcią krwawą do powieści Rodziewiczówny;... ale dziś któż wiedział przez jakie katusze przechodzili owi siewcy wielkiego „Powstania” wolnej Polski?... jacy byli aktorzy tragedji, rozgrywającej się przy szubienicach Murawiewowskich, w kopalniach sybirskich?... kto mógłby wyliczyć kościoły pozamykane, mienia skonfiskowane?

To też postanowił rotmistrz z wezwania wieczorem skorzystać, aby nowych szczegółów przeszłości dotknąć i je w duszy zachować.

Tymczasem pan Ostyk zawołał stróżkę, ośm-dziesięcioletnią starowinę i polecił jej sprowadzić szklarza, aby wybitą szybę w pokoju wynajętym wstawił i o zmianie siana w sienniku i wymyciu podłogi przypomniał. Wziął z biurka list i zaczął go rozpieczętowywać, gdy zapukano do drzwi.

Wszedł urzędnik i z teki wyjął papier:

— Należy się jeszcze od pana 61 złotych i 20 groszy, jako dodatek do podatku mieszkaniowego; ogromnie wiele ma pan pokoi.

— Prawie cały dom mój zajmuje szkoła ludowa!

— Szkoła komorne płaci.

— Czterdzieści złotych rocznie, a ja mam płacić podatku 61!

— Niech pan wniesie rekurs, ale zapłacić trzeba.

Pan Ostyk otworzył szufladkę. Miał 65 złotych. Ile szyba będzie kosztowała? — myślał — 2, 3 złote?

Nagle coś go ukłuło w serce: przypomniał sobie, że dziś po południu miał iść do proboszcza, aby, jak zawsze od lat przeszło pięćdziesięciu, Mszę św. na dzień rocznicy śmierci matki zamó-



wić. Rocznicą przypadała jutro, a nawet 5 złotych na zamówienie Mszy żałobnej mieć nie będzie. Jednak bez wahania wyjął pieniądze z szufladki i podatek zapłacił. Po wyjściu urzędnika siadł i oddychał ciężko. Niemożliwość zakupienia Mszy św. przejmowała go strasznym bólem. Żeby mu oznajmiono, że przez tydzień nie będzie miał kawałka chleba w ustach, nie wzięłby tego do serca... wydawało mu się, że wiernym być przestanie pamięci tej, którą, jak świętą czczył.

Myślą sięgnął wstecz.

Jak się czuł szczęśliwym do onego, pamiętnego roku!... W wielkim dworze Hołowczyńskim upływało jego dzieciństwo. Kształcono go w domu; miał przy sobie dwu nauczycieli, a w godzinach wolnych hasał na kucu. Znał wszystkie drogi, polany i uroczyska i wszędzie był u siebie, bo któżby w kluczach Hołowczyńskim i Hańskim nie znał panicza Jurka, który miał złote serce i figle w głowie.

Pamiętał, jak w onym roku dwór się trochę wyludnił: ojca prawie w domu nie było, wyjechali „na wakacje” obaj nauczyciele i to tego, to owego brakowało. Ale czternastoletni chłopak mało na te zmiany zwracał uwagi. Kuc przez dzień cały był na jego usługi, a pies ojca „Wypłosz” teraz go za wszechwładnego pana uważał. Aż dnia

pewnego zawołała go matka. Była blada, w rękach trzęsących się trzymała list.

— Jurku! — rzekła — tobie tylko mogę zaufać i ten list powierzyć. Przestań być dzieckiem; dziś zostajesz mężczyzną i może w ręku twojem życie ojca i — partji. Znasz Kniaże uroczysko w obchodzie Snowidowskiem,—trafisz?

— Żebym ja nie trafił!

— Ten list oddasz ojcu, który na Kniażem nocował... śpiesz... uklęknij, niech ciebie przeżegnają...

Ukląkł... a ona znakiem krzyża pasowała go na mężczyznę i — męczennika.

Chwilę później pędził na kucu; za nim biegł wierny Wypłosz. Wjechał w las. Pies węszył niepokojnie, złowrogo nadstawiał uszy. Człowiek, ubrany czarno, ze złotymi guzikami i czapką żołnierską skrył się w gęstwi. Dojeżdżał do Kniażego. Zapachniało dymem. Obozowisko było tuż, widoczne poprzez pnie prastarych sosen. Jeszcze parę kroków... i zeskoczył z kuca tuż przed ojcem...

Lecz na twarzy ojca wyczytał bezgraniczny przestach, ból, rozpacz...

Obozowisko było od świtu osaczone przez Moskali, oddział rozbrojony, a droga otwarta, dla konstatowania styczności oddziału z okolicą...

Jurek Ostyk liczący lat czternaście, wpadł w pułapkę i towarzyszył ojcu na Sybir...

Gdy ojca na cmentarzu w Nerczyńsku pochował, pozwolono mu, jeszcze niepełnoletniemu, wrócić do kraju. Na szczęście dożywocie matki wstrzymało konfiskatę majątków. Matka, z zupełnym zaparciem się siebie, uznała, że synowi jedno zapewnić powinna — wykształcenie... i wysłała go do szkół... Widywał ją coraz bledszą i coraz więcej kaszlającą, tylko w czasie wakacji.

Wówczas stryjeczno-stryjeczny brat ojca zapisał mu, umierając, Ostykowski dworek w Hańsku i matka wtedy zaczęła pośpiesznie, cichaczem z Hołowczyna do dworku pamiętki, cenniejsze sprzęty, bibliotekę przewozić, o każdym szczególnie gospodarskim pamiętając.

Po jej śmierci i konfiskacie majątków w dworku niczego, dzięki przeczności matki, nie brakło. Pozatem Jerzy Ostyk odziedziczył po matce niewielki kapitał, który potrafiła ona, odmawiając sobie wszystkiego, przez ostatnie kilka lat życia uciulać. Śmierć matki zastała go na uniwersytecie. Nauk nie skończył. Uczuł się sam na świecie, złamany, na straży grobu przeszłości stojący.

W dworku wraz z nim osiadło kilku starych rezydentów, kilkoro starych sług. Z biegiem cza-

su grono ich malało i kapitał malał... aż w końcu ostała ośmdziesięcioletnia stróżka Julka, a kapitału nie było śladu. Do wojny i w czasie wojny mógł jeszcze odnajmywać dawne wielkie swoje mieszkanie. Władze polskie zarekwirowały je na szkołę i płaciły właścicielowi 40 złotych rocznie. Utrzymywały go przez czas jakiś sprzedawane antyki, których powoli musiał z bólem serca się wyzbyc...ogródek owocowy... a teraz?...

Przypomniał sobie list. Poznał pismo krewnego, Woyny-Jasienieckiego, trudniącego się obecnie antykwarstwem w Warszawie.

„Kochany Wuju! — przyjechał do Warszawy anglik, poszukujący pamiątek i dzieł sztuki, których historyczne pochodzenie może być stwierdzone. Wiedząc, że Wuj jeszcze posiada karabelę po Hołowczyńskich, zapytuję, czyby Wuj jej nie sprzedał. Można za nią osiągnąć 300, może 400 dolarów. Wszyscy są bez grosza; może Wujowi propozycją sprzedania karabeli oddam usługę. Wrazie zgody proszę telegrafować.“

Oddany siostrzeniec

*Grzegorz Woyna-Jasieniecki.*

—Czteryście dolarów! — myślał — 2.000 złotych!... zabezpieczenie jutra... spokój co do grożących podatków... i... zapłacony pogrzeb!...

Znowu ktoś do drzwi pukał.

— Kto tam?—zapytał z pewnem zniecierpliwieniem.

W drzwiach stał pan Starosta Hański, człowiek młody, wyglądu wojskowego, z uprzejmym uśmiechem na twarzy. Porzucił od paru lat wojsko, bo go partyjność i protekcjonalizm zbyt raziły i zniechęciły. Sprawował urządowanie poprawnie, uczciwie. Wszyscy uznawali w nim dobrą wolę i, co rzadsze w obecnych czasach, dobre wychowanie.

— Odwiedziłem szkołę — zaczął — i wstąpiłem do pana, aby się upewnić, że pan o jutrzejszej uroczystości nie zapomniał?

Pan Ostyk Staroście fotel podsuwał i wzrokiem zapytywał, o co chodzi.

— Byłem tego pewny, że albo panu wezwania nie doręczono, albo pan zapomniał. Jutro uroczyste otwarcie sejmiku powiatowego.

— Tego tylko brakowało! — zdawały się mówić zmęczone oczy pana Ostyka.

— Bardzo o to dbam,— ciągnął dalej Starosta — żeby pan choć w tem pierwszym posiedzeniu wziął udział. Jest pan jedynym w powiecie powstańcem-weteranem. Będzie pan tym łańcuchem, wiążącym przeszłość z teraźniejszością.

Pan Ostyk milczał, czuł się bardzo znużonym.

Starosta oglądał stare biurko. Wzrok jego padł na stary sztych, wizerunek owego Jerzego Ostyka, jednego z twórców Konstytucji 3 Maja, rytowany według portretu Lampiego. (Portret ten właściciel dworku dawno muzeum narodowemu ofiarował).

— Kontuszowy... czyżby przodek pana?

Pan Ostyk tylko potakująco kiwnął głową.

— Pozazdrości może panu zaszczytu wzięcia udziału w pierwszym sejmiku Hańskim!

Była w tych słowach taka bezwiedna ironja, taka nieznamość przeszłości i brak instynktu, że pan Ostyk dziwnie, bezdźwięcznie roześmiał się. Śmiech ów do łkania był podobny.

— O zaszczycie nie mówmy... to pojęcie jest z innej epoki... mówmy o obowiązku. Obowiązek, jakby dla mnie ciężkim nie był... spełnię.

— Dziękuję i bardzo na to liczę. Nie wiem, czy pan się w tym powiecie urodził, nie wiem, w jakiej partji powstańczej pan walczył... Szczegóły i wskazówki dostarczone mi przez pana, umieszczę w gazecie wraz z opisaniem uroczystego otwarcia sejmiku.

I zabierał się Starosta do wyjścia, z uprzejmem słowem „do jutra”, wyciągnął ku gospodarzowi rękę. Ten patrzył przed siebie nawpół błędnie i nagle rzekł głucho:



— Nie bezcześćcie grobów, panie Starosto!  
— Co za dziwak! — myślał tamten, siadając do powozu.

Zmrok zapadał. Weszła stróżka, stękając zapaliła lampę. Zabrzmiało tradycyjne: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!” — a gdy, w myślach pograżony pan Ostyk, nie odpowiadał, spojrziała badawczo na niego, potem przyniosła szklankę herbaty, chleb, masło. Była to pana Ostyka wieczera.

— Chleba na jutro niema — rzekła — i szklarzowi dwa złote zapłacić trzeba.

Pan Ostyk podszedł do biurka i wręczył stróżce cały swój majątek, to jest 3 złote 80 groszy.

— Jutro rocznica śmierci nieboszczki pani, — szepnęła stróżka, wychodząc.

— Pamiętam.

Przypomniał sobie list kuzyna i rozważał sprawę karabeli, popijając herbatę. Gdy skończył, lampę postawił na biurku, sztor zapuścił i otworzył skrytkę.

Leżała tam, w cienką bibułę zawinięta, owa karabela. Wyjął ją, skrytkę zamknął, gdy znowu ktoś do drzwi zapukał. „Rotmistrz” — pomyślał pan Ostyk i rysy jego, pełne smutku i zmęczenia, wypogodziły się nagle.

Rotmistrz Skrzypniewski wszedł, dłoń uści-  
snął, papierosa zapalił i mówił:

— Choć jutro rano mam się tu przenieść,  
nie chciałem wieczoru stracić. Pan dał mi poznać  
świat, o którym pojęcia nie miałem; świat, któ-  
ry mię pociąga swoim... jak mam się wyrazić?...  
spełnionem posłannictwem, całopalną ofiarą na  
ołtarzu Ojczyzny złożoną...

Lecz pan Ostyk na pierwsze słowa rotmistrza  
odpowiadał:

— Jutro... od rana mnie w domu nie będzie..  
mam zasiadać w miejscowym sejmiku... jutro  
pierwsza sesja. Pojutrze czekam pana o 8 rano.  
Pokój będzie czysty; mam jeszcze trochę dREW...  
każę w piecu przepalić z powodu wilgoci.

Siedział rotmistrz w fotelu przed biurkiem,  
przed nim leżała karabela, w cienką bibułę za-  
winięta. W jednym miejscu papier był odwinie-  
ty, widniała rękojeść cudnej roboty.

Mimowoli rotmistrz rękę wyciągnął.. lecz  
nagłym ruchem pan Ostyk dotknięciu karabeli  
zapobiegł:

— Przepraszam, — rzekł — to pamiątka!

Ale nie minęło dwóch sekund, gdy poczuł,  
że gościowi wyrządził mimowolną krzywdę...  
więc, odwijając papier, mówił:

— Panu pokażę, bo pan mnie zrozumiał i pa-



miątki czcić umie... może ten kraj kiedyś pokocha, umiłuje...

Błysnęła pochwa z aksamitu karmazynowego ze złocistemi brzegi... zaślniła rękojeść szafirami i zamarłemi perłami zdobna...

Rotmistrz karabelę trzymał w ręku, w świetle lampy oglądał, podziwiał... „przepych” — mówił — przepych!

— Niech pan szablę wyciągnie i napis przeczyta — mówił cicho pan Ostyk, siadając ciężko na krześle, jakby widokiem tej pamiątki olśniony.

Napis brzmiał:

TOWARZYSZOWI WOJENNYCH TRUDÓW  
I CHWAŁY  
PUŁKOWNIKOWI RAFAŁOWI HOŁOWCZYŃ-  
SKIEMU  
JAN KRÓL.

W pokoju była cisza.. karabela drżała w ręku rotmistrza... Szafiry rzucały płomienie, jak źrenice, patrzące z za świata...

— Dziś już to nazwisko czytałem.. nie była li Hołowczyńska z domu Wojewodzina?... tam...

Znowu cisza... Z głębi krzesła głos pana Ostyka zadrzał i umilkł:

— Moja...

— Uderzyła li kwietna gałązka czereśni o szyby, czy stała za oknem Wojewodzina w złocistym robronie, gotowa rodowej bronić pamiątki?...

— Daję mi za nią 300 dolarów, — jęknął pan Ostyk—może 400...<sup>o</sup> Podatki,... naprawa grobowca—szeptał coraz ciszej...

Nagle usta rotmistrza przyłgnęły do podpisu królewskiego...

Ten hołd, oddany tradycji, zmienił tok myśli Jerzego Ostyka. Wstał, wyprostował się...

— Nie! nie sprzedam! Zabierze pan ją dziś jeszcze ze sobą. Jeśli taki ją zechce kupić, co ją uczci... to pan ją sprzeda... w przeciwnym razie odda ją pan do muzeum narodowego po mojej śmierci.

Rotmistrzowi ledwie teraz bielmo spadło z oka :

— Więc pan jest?... — szepnął — w zapytaniu zawartą była cała rodowa filjacja Ostyków od czasów Kazimierza Jagiellończyka... przed oczami rotmistrza przesunęły się buławy, sztandary, laski marszałkowskie, karmazynowe czapaki, złociste rzędy...

— Jerzy Ostyk — brzmiała odpowiedź.

I pokój znowu zaległo milczenie.

Pan Ostyk powoli szedł do okna, jakby chciał ukryć wzruszenie, sztor podniósł, okno otworzył.

Czereśniowy ogródek kapał się w księżycowym blasku, kędyś w dali odzywał się błotny bąk...

— Czas spocząć panu — rzekł rotmistrz.

Jutro dzień męczący... takie posiedzenie, to jedna z klęsk doby obecnej.

— Więc pojutrze o ósmej czekam pana.

Zawijał w cienką bibułę karabelę i poprostu, bez słowa, bez gestu podał ją.

— Jak panu dziękować za zaufanie? — drżał głos rotmistrza, gdy przechodzili ciemną sień.

Stanęli na progu: srebrna księżycowa cisza zalegała dziedziniec... apel wieczorny rozbrzmiewał kędyś w miasteczku...

— Służąc krajowi hartem wiary, hartem ducha i charakteru... hartem stali...

I nad głową rotmistrza zakreślił znak krzyża.



### III.

Noc spędził pan Ostyk w pół śnie; coś mu się ciągle majaczyło, zmora go dusiła, gdy się na lewym boku położył, — wreszcie usnął snem twardym, gdy już świtało. Obudził się niepokrzepiony spoczynkiem, spojrzął na zegarek: było już po ósmej, a posiedzenie naznaczone było na dziewiątą. Więc nie będzie miał czasu zabiedz do kościoła, aby choć przez chwilę pomodlić się na grobie matki!

Spieszył... w czasie ubierania się kilka razy musiał sięść, odpocząć, tak się czuł zmęczonym.

Wszedł do sali, gdy zegar wskazywał siedm minut po dziewiątej. Nikogo jeszcze nie było, z pokoju obok dolatywał głos Starosty.

Wiosna była późna. W polu mnóstwo wiosennych robót nie było skończonych: sadzono jeszcze kartofle, dosiewano jęczmiona. Dla własności większej i chłopów ta przerwa robót z po-

wodu otwarcia sejmiku była nie na rękę. Byli tacy, którzy trzy dni na podróż do Hańska, posiedzenie i powrót stracić musieli. To też nadsięgające powoli grupy gospodarzy sarkały na samorząd, rady gminne, sejmiki i wzrastające ustawicznie podatki.

W najdoskonalej prowadzonej operze nigdy różnych chórów tak uzgodnić nie możnaby było, jak uzgodnione były pod względem treści i formy grupy radnych samorządowych, wypowiadających pod adresem władz krytykę. Wzrastający pomruk treścićby można w jednym zdaniu: „Samorząd ma na celu wymuszanie coraz to nowych podatków, to jest jedyna jego racja bytu.“

Pan Ostyk siedział w kącie i milczał,—gdyby chciał słuchać, mógł być pewnym, że w każdej grupie te same słowa w kółko powtarzane usłyszysz: podatki, komedja, brak zarobków, przeplatane wyrazem, który ze wszystkim zawsze i wszędzie rymował i nadawał lingwistycznej ewolucji doby obecnej jędrność i dobitność: „cholera“.

Zebrał się i „wydział“. Zasiadało w nim dwu obywateli polaków, jeden szlachcic zagrodowy, prawosławny i trzech włościan. Obywatele-polacy byli ludźmi w pełni wieku, prędzej młodzi. Byli czynni, a nawet bardzo pod pewnym wzglę-

dem ofiarni: zasiadali bowiem conajmniej w 3-ch komisjach tygodniowo.

Słynne określenie Bossueta, że: „cierpienie jest czynem”, na grunt polski, społeczny przeniesione, rozumiano powszechnie: „posiedzenie — to czyn”, choć było ono najczęściej czynu zaprzeczeniem, a tylko prostym gadulstwem i stratą czasu. W tym wypadku jednak nie można było obu obywatelom, zasiadającym w wydziale ani niepotrzebnego gadulstwa, ani lenistwa do czynu zarzucić.

Przeciwnie—brali oni swoją pracę na serjo i jeśli wolno było wynaleźć w ich działalności jakiś brak, to chyba brak — instynktu, tego największego Bożego daru, którym Bóg obdziela świętych, wielką część twórców i kobiet i maluczkich o gołębiem sercu.

Zasiedli zatem panowie: Wąsalewski i Zarzecki i reszta wydziału u stołu, w środku zajął miejsce pan Starosta, przy nim referent samorządowy, zastępujący zapadłego na ciężkie zapalenie płuc przed objęciem funkcji, sekretarza i pierwsze posiedzenie sejmiku w Hańsku rozpoczął Starosta, rzeczowem, jasnem i krótkim przemówieniem. Mówił powoli, wyraźnie, starając się, aby go wszyscy rozumieli.

Stanowił on wśród Starostów kresowych rzadki wyjątek, który tem jaskrawiej podkreślał niski poziom etyczny i kulturalny funkcjonariuszy urzędowych, z których niejeden już karierę swoją w kryminale skończył.

Zamilkł pan Starosta. Był to tylko wstęp. Właściwe posiedzenie zaczęło się od odczytania listy członków sejmiku i stwierdzenia ich obecności.

Wstał pan referent samorządowy Józef Mącik i wymieniał jedne po drugich imiona i nazwiska.

Opowiadano o nim cichaczem, że należał do partji „Wyzwolenia”, która to partja na kresach w szczególności nie dwuznaczną odgrywała rolę. Pod innymi rządami działalność taka mogła z łatwością być powodem dochodzenia karnego, pod zarzutem zdrady stanu. W chwili obecnej zaś otwierała drogę do krzesel w Senacie, tek ministerjalnych—i zaszczytów. Ponieważ zaś referent był człowiekiem nie tylko nie głupim, ale wielce sprytnym, ze swadą w wymowie i posiadał zmysł orientacyjny, jak i znajomość słabości ludzkich, wychodził dotąd zawsze nie tylko zwycięzko, ale skrajnie demokratyczne poglądy, wygłaszane co chwila, dawały mu dobrą u władz markę.

Padają imiona i nazwiska z ust referenta.



Krótkie „jest”, albo „obecny” stwierdzały obecność.

— Wincenty Jaroszewicz?

— Jest.

Pan Ostyk spojrział na swego sąsiada. Był to człowiek, mogący mieć lat 75, ale czerstwy jeszcze, w porządną siermięgę i także buty ubrane.

Gdzie, kiedy słyszał to imię i nazwisko? a!... tak!... tak się nazywał gajowy w obchodzie Snowidowskim, w tym obchodzie, gdzie ongi Książę uroczysko tragicznie szumiało. Ale wtedy już Wincenty Jaroszewicz był stary... więc...

Nagle pan Ostyk drgnął: od stołu przydyjającego brzmiało: „Jerzy Osryk?”

Czy myślał pan referent, że odczytuje jedno z tych nowoczesnych polskich nazwisk, których fonetyka na kiepski żart zakrawa?... przekreśli nazwisko świadomie, czy było ono nieczytelnie napisane?

Wstał pan Ostyk, wyprostował się: „Ostyk, jestem”, powiedział takim tonem, że wszyscy spojrzeli po sobie.

Ton tych dwu wyrazów mówił: „wiedz ty, chamie jeden, co jest Ostyk”.

Ci dwaj ludzie stali naprzeciw siebie i obaj nagle, instynktownie poczuli, że dziś tu, w tej

sali rozegra się pomiędzy nimi pojedynek na śmierć i życie.

Rzecz dziwna: człowieka, noszącego to dziś nieznane nazwisko, poznał wczoraj żołnierz polski o kulturze zachodniej, miłujący głęboko polską przeszłość, teraźniejszość i przyszłość i zniewolił go odrazu, instynktownie ideał bohater-skiej przeszłości, której Ostyk był spadkobiercą i wyrazicielem. Ten sam nieznany człowiek i nazwisko podziały na p. referenta Mącika wręcz odwrotnie. Coś rozkazało mu tego człowieka i jego przekonania zwalczać, zmódr, wytepić.

Tu, w tej małej sejmikowej sali, starły się dwa prądy, które od wieków wiecznych o pierwszeństwo na całej połaci Rzeczypospolitej walczyły: kultura zachodnia i wschodnia anarchja.

Szeroka fala bolszewizmu płynęła z ujarzmionej przez międzynarodową szajkę żydów Sowdepji poprzez Hańsk, Brześć ku Warszawie, gdzie ultra-lewicowe elementy sejmowe były ideologii wschodniej jawnymi wyznawcami. Jakaś siła niewidzialna, czyjeś mocne plecy od zmartwychwstania Polski i podporządkowania jej eksperymentom duchowych analfabetów broniły i podtrzymywały propagandę i propagatorów.

Gdyby rotmistrza Skrzypniewskiego zapyta-

no, do jakiego celu świat dążyć powinien, odpowiedziały niechybnie, idąc za myślą Krasińskiego: „Cel świata — szlachetnienie”. To określenie ubodłoby odrazu demagogiczne poczucie pana Męcika. Wyrazów „szlachetny, szlachetnienie” może mniej nienawidził od idei arystokratyzacji mas, a gdyby miał mówić językiem Krasińskiego, odwrotne jego poglądom wygłosiłby zdanie: „Wszystko zawsze spychać w dół”. A potem?... Gdyby ogromnej rzeszy działaczy lewicowych rezultat ich niwelacyjno-destrukcyjnej roboty pokazano, ujrzeliby ze zdziwieniem, z przerażeniem może — zjednoczenie Polski z Sowdepją pod sztandarem żydowskiej międzynarodówki.

Ale zgroza i przerażenie rezultatem własnej akcji ogarnęłyby li tylko tych, którzy, choć zaślepieni, obalamuceni i podszczuwani, w dobrej wierze działali. Zaś garstka ruchu tego przewódców, świadoma zadania i antypaństwowej roboty, właśnie wtedy uważałyby cel za osiągnięty, rada widzieć żydowską gwiazdę na miejscu Królewskiego Białego Ptaka.

Dwa te kierunki stały naprzeciw siebie w sejmikowej sali i patrzyły sobie w oczy. W obronie referenta Męcika powiedzieć można, że celu konkretnego propagandy, której ulegał, nie był świadomy. „Pojedynek”—myślał—„któż mógłby być

moim sekundantem?” — i pogardliwym wzrokiem zmierzył otoczenie.

— Pojedynek — myślał Jerzy Ostyk — któżby po mojej stanął stronie? Ci bierni gospodarze, których nic nie obchodzi, czy tych kilku obywateli, którzy odrazu przeraziliby się koniecznością wypowiedzenia się w tym, czy przeciwnym kierunku bez możliwości odwołania się do uznanego, usankcjonowanego, weszłego w życie, w naturę, w dogmat życiowy — kompromisu.

Nagle... jakaś błogość zalała serce pana Ostyka. Siadł, przymrużył oczy i myślą wpatrzył się w ułański mundur i twarz szlachetną, otwartą rotmistrza Skrzypniewskiego. Trzymał jak wczoraj, w rękę karabelę, lśniły szafiry blaskiem symbolicznym, pałał, jak krew bohaterów, aksamit karmazynowy pochwy...

— Depozyt przeszłości oddałem w ręce żołnierza polskiego — myślał Jerzy Ostyk, — nie przefrymarczyłem go dla własnej wygody, ni dla próżnego blichtru... przed Tobą, Panie, w pokoju sumienia stanąć mogę!

Ten sam stan ducha uwiecznił Rostand w nieśmiertelnym, końcowym monologu Cyrana de Bergerac. Tymczasem od stołu prezydjalnego lały się potoki elokwencji w jakimś galicyjskim narzeczu, mało zrozumiałem dla polaków, cóż więc

dla gospodarzy Województwa Nowogródzkiego. Dialekt ten, przeplatały często-gęsto wyrazy techniczne, którymi nowa polska biurokracja igrała jak składowemi częściami niezrozumiałej łami-główki.

Teraz mowa była o preliminarzu budżetowym.

Wincenty Jaroszewicz zwrócił się do pogrą-żonego w myślach pana Ostyka:

— Co to, panie, preluminarz?

Pan Ostyk namyślał się. Znał słowo „lumi-narz”... ale co mogło znaczyć „preluminarz?... z pewnem zakłopotaniem odrzekł: „Nie wiem, może to jeden z tych panów” — i wskazał „wy-dział”.

Po chwili znowu pytał Jaroszewicz:

— Co to, panie, podatek samoistny?

Pan Ostyk uśmiechnął się dobrotliwie, już całkiem rozpodgodzony:

— To — jeden z szesnastu... tak, z szesna-stu... liczyłem... mniejsza o to jaki! Grzechów głównych i grzechów cudzych jest razem szesna-ście... tyle samo podatków.

Kilku włościan cicho się roześmiało.

— Grzechy — pan mówi — prawda! grze-chy! a ciszej jeszcze padł znany rym „cholera”.

Snuły się ciągle podatki za podatkami i ko-misje za komisjami...

Przez okna otwarte wtargał Maj. Gospodarze myśleli o nieposadzonych kartoflach, o przyszłym sianokosie, ale raz po raz jakieś głosowanie tok ich myśli przerywało.

Przez chwilę rozumieli o co chodzi: wybierano komisję drogową, podkomisję drogową, a pozatem miały funkcjonować drogowe komisje gminne.

Uchwalony podatek drogowy nie zmieniał i nie zastępował konieczności naprawy dróg za pomocą szarwarku. To wszystko włościanie rozumieli: w ich umysłach komisja i strata czasu to była jedna, podnoszenie podatków i sejmik to była druga, szarwarkowa powinność bez stanowczego rozkazu i dopilnowania to była trzecia udręka polskich rządów i samorządów.

Wstał włościanin i powiedział krótko i dobitnie:

— Dawniej jeden „urządnik” wystarczał i był porządek.

Zamilkli wszyscy... tylko przy stole przydzielalnym powiedział przyjaciel ludu do inżyniera od niwelacji społecznej: „Zaczynają mieć, psia krew, zdanie i głos podnosić.”

I snuły się dalej podatki za podatkami i komisje za komisjami. Choć godzina była przedpo-

łudniowa, ziewanie dochodziło już do chronicznego paroksyzmu.

Nagle uderzyło uszy słuchaczy znowu coś zrozumiałego: był to podatek od ziem kościelnych.

Hufiec jakiś pancerny zatrąbił li pobudkę?... gwizdnęły li wraże, tatarskie strzały, że pan Ostyk zerwał się, wyprostował i rzekł:

— Proszę o głos.

I zaczął fatalnie!... no, zupełnie od rzeczy!

— Dawniej, panowie, były wielkie dwory...

Odrazu pan referent samorządowy przerwał:

— Co dwory znaczą? ziemia nie zginęła, jest rozdzielona... i chwała Bogu! (Do roboty destrukcyjnej wolno nawet było Pana Boga zawezwać).

— Chciałem właśnie powiedzieć — ciągnął dalej pan Ostyk, — że ta ziemia, ongi dworska, dziś rozdzielona, kościoła nie zbuduje i proboszcza nie zaopatrzy, jak go dawniej zaopatrywały dwory. Obarczyć podatkiem ziemię kościelną, nie godzi się, bo księża katolicy i prawosławni za ledwie z czego wyżyć mają... dworów niema; („znowu!” wtrącił pan referent...) dajmy dowód, że za przykładem bolszewji nie idziemy, że wyznanie każde szanujemy, że jesteśmy Chrześcijanami. Zaznaczmy, że jesteśmy państwem, które dzięki Opatrzności zmartwychwstało i że ono wszyst-

ko, co się tyczy kultu religijnego czci i podtrzymuje. Powiedziałem.

Pan Ostyk usiadł.

— Kto za opodatkowaniem ziemi kościelnej — komenderował referent — niech ręce podniesie do góry!

Podniosły się wszystkie ręce obecnych prócz ręki pana Ostyka.

— Kto przeciwny?

Tylko ręka pana Ostyka zadrżała wysoko nad głowami.

Pan referent uśmiechnął się.

Zarządzono obiadową przerwę.



#### IV.

Ale uczciwe pojmowanie swego obowiązku kazało panu Staroście podejść do grup włościańskich z zapytaniem:

— Czy rozumieście wszystko?

Na co śmielszy włościanin odpowiedział:

— To, co Michałko Szyk mówił o „uradni-ku”, to my zrozumieli.

Inni potakiwali.

— Prawdę powiedział.

— No, a podatki, które uchwaliliście, czy rozumieście, co uchwalacie?

Na to spytał jeden z radnych:

— Co to takiego, panie Starosto, podatek samoistny?

— Poproszę referenta, żeby panom wytłómaczył. Ja muszę w tej chwili z szefem policji rozmówić się, który na mnie czeka.

I, przechodząc koło referenta, powiedział mu

to, wskazując grupę radnych. Lecz ten tylko ramionami wzruszył.

Tłómaczyć włościanom treść debatów, pytać, czy cokolwiek z potoków elokwencji zapamiętali i zrozumieli, poza Starostą, nikt nie czuł potrzeby. Na taki zbytek mógł sobie, na krańcu powiatu mieszkający pan Witold Ginwiłł, pozwolić. On to, zasiadając w radzie gminnej raz po raz do chłopów się zwracał, tłómacząc:

— Jak się raz to nieszczęście stało, że samorząd wprowadzony został, trzeba żebyście rozumieli nad czem radzicie.

— O podatkach, panie, zawsze o podatkach i naco ta komedja? Prawdu pan mówi nieszczęście,—potakiwali chłopi.

— Jeśli czego nie rozumiecie, to pytajcie się.

— Pana to my zawsze rozumiemy.

— Rozumiecie... a w tym roku spaliliście mi stodołę!

— Bo taki „prikaz” był.

— „Prikaz”? czyj?

— Polaki, panie... z sejmu, — tłómaczyli chłopi.

— Powiedzcie im, że stodoła już stoi i lepsza, niż była.

Tak gadał z chłopami pan Ginwiłł i nie można było powiedzieć, żeby nie miał u nich miru.

Chłopi wierzyli, że pańskie słowo—to to samo, co pieniądz, równie, jak wiedzieli, sąsiedzi, że kasa pana Ginwiłła była zawsze dla biedy, potrzeb religijnych i społecznych otwarta. Przyjaciół i nie było jakich posiadał pan Ginwiłł, ale większość ludzi nie mogła mu darować: po pierwsze — jego gęby, która mówić się zdawała: „Nie zjecie mnie, prędzej sami się udławicie”, a po drugie—zarzucano mu, że w pałacu mieszkał, że cudzoziemskie języki posiadał i chętnie niemi mówił, że znał się na literaturze, sztuce i inne miał niepotrzebne fochy. Ale najwięcej miano mu za złe wprost niepoczytalny język i bezprzykładną śmiałość zdania. Zacny pan Wąsalewski dostawał bicia serca, ile razy pan Ginwiłł usta otwierał, a urzędnikom odbierał humor i apetyt.

Dziś rano właśnie zjawiło się ich aż trzech naraz u pana Ginwiłła. Pierwszy — referent od „odbudowy” rekwirował kontyngent leśny. (Adres jego obecny: Ul w Nowogródku.) Drugi — od szkolnictwa domagał się, aby pan Ginwiłł poza kontyngentem remontował szkoły. Trzeci — młody leśnik — fachowiec oglądał las i uśmiechał się—zdawałoby się—wielce złośliwie.

Gdy interesy w porozumieniu z administracją dóbr były omówione, pan Ginwiłł zaprosił referentów na śniadanie. Wymawiali się, twierdząc, że

muszą śpieszyć z powrotem do Hańska, aby być na zapotrzebowanie dla wyjaśnień przy układaniu budżetu. Ale gdy pan Ginwiłł nastawał, zgodzili się wypić kieliszek wódki i przekąsić. Rozmowa nie kleiła się. Pan referent od „odbudowy” zauważył nie bez pewnej uszczypliwości:

— Wielką pan ma siedzibę—na co pan Ginwiłł odrzekł spokojnie:

— Za innych czasów budowana, jeszcze za polskich... inaczej wtedy świat wyglądał.

Referent od lasów uśmiechnął się, a referent od odbudowy mówił dalej tonem coraz niechętniejszym:

— Uzna pan chyba, że od owych czasów postęp jest znaczny?

Ale pan Ginwiłł, zamiast na zapytanie odpowiedzieć, zaczął deklamować wierszyk... po włosku:

„Quan San Marco governava,  
Se pranzava, se cenava...”

— Prawda! — przerwał — panowie po włosku nie rozumieją. Ten wierszyk mówi o świetności i upadku Republiki Weneckiej pod różnymi rządami. Przenosząc ostatnią strofę na grunt polski, da się ona w następujący sposób przetłumaczyć:

„Pod Grabskiego dyktaturą  
Dziura się zatyka dziurą.”

Referent od lasów uśmiechnął się, gdy referent od odbudowy aż wskoczył i zaskowyczał:

— Dyktaturą nazywa pan ustroj parlamentarny szeroki, najszerszy! wprowadzenie samorządu, demokratyzm w najdoskonalszych swych przejawach!

— Może się pomyliłem, robiąc porównania, które bywają nieraz zbyt korzystne, lub zbyt niekorzystne. Idziemy w rzeczy samej w jednym kierunku, jest u nas logiczna ciągłość rozwoju wypadków po raz wytkniętej linii. W dawnej Francji ciągłość ustroju monarchicznego miała wyraz w znanym okrzyku: „Le roi est mort, vive le roi”, — który w zastosowaniu do doby obecnej i konsekwencji, z jaką kroczymy po drodze karkołomnych eksperymentów, w następujący sposób dałby się przetłómaczyć:

„Niech Polska umrze, niech żyje sanacja!”

Na szczęście w tej chwili bryczka zaturkotała pod gankiem i referenci zaczęli się żegnać pośpiesznie. Młody leśnik jakoś w przedpokoju zamarudził i gdy już tamci wyszli, podszedł do pana Ginwiłła i cicho i dobitnie swoje nazwisko wymienił. Nazwisko brzmiało jak chrzest skrzy-

dlatej, husarskiej zbroi. Pan Ginwiłł dłoń wy-  
ciągnął, chciał coś mówić, gdy nagle z ganku za-  
wołano:

— Panie referencie, czekamy!

Już referent siedział na koźle i bryczka ru-  
szyła. Ledwie ujechali sto kroków, gdy referent  
od odbudowy rzekł do referenta od szkolnictwa:

— Niebezpieczny człowiek.

— Gdyby takich więcej!... fiu, fiu, fiu! —  
zabrzmiało z koźła.

Referenci spojrzeli na siebie.

— Ładne będą czasy, gdy — to dorośnie! —  
szepnął pierwszy, wskazując młodego od lasów.  
Posłyszał li ten uwagę, czy wypadek zrządził,  
że uszy referentów starszych ukuła ironicznie  
gwizdana: „Jeszcze Polska nie zginęła!” Lecz po  
chwili młody od lasów wychwycił lejce z rąk wo-  
źnicy i rzekł:

— Pojęcia nie masz o wożeniu, popatrz!

I konie pomknęły równo, czując rękę mi-  
strza.

— Kto to uczył panicza? — pytał woźnica.

— Żebyś wiedział, jak ja czwórka powozi-  
łem!

— Czwórka, gdzie?

— W domu.

— To u panicza w domu była czwórka?

— Było 14 cugowych i 72 fornalskich.

— Aj, aj! — zdziwił się woźnica... a po chwili:  
A kiedy tamte czasy wróca, ja pójdę do jasnego  
panicza na służbę... dobrze?

— Tfu! — splunął referent od odbudowy na  
lewo.

— Tfu! — splunął referent od szkolnictwa  
na prawo... i jechali ku Hańskowi milczący i  
chmurni.





## V.

Dzwonek oznajmił koniec przerwy.

Pan Ostyk w tym czasie siedział na ławeczce w cieniu starej lipy. Jeść mu się nie chciało... Słuchał wabiących się wilg, brzęku pszczoł... gdzieś hen... może na pałacu Hołowczyńskim klekotał bocian. Dzwonek wyrwał go z zadumy... i znowu zasiedli wszyscy i słuchali słów, cyfr... i znowu słów, cyfr... Orgja ziewania szalała dookoła.

Cztery do pięciu godzin trwało uchwalenie różnych pozycji budżetu sejmiku, a gdy ten został zreasumowany,... wtedy zaledwie pomruk zdziwienia i protestu dał miarę tego, jak mało ogół zdawał sobie sprawy z wysokości sum uchwalonych i wymiaru przyszłych podatków — i gdyby nie spryt pana referenta samorządowego, nie wiadomo, czemu się ta sesja skończyła. On zaś wymową swoją ludność uspokoił i został nieomal

bohaterem dnia tego. Nieoma! — gdyż przeciwnik jeszcze ostatecznie pokonanym nie był. W swem długim przemówieniu podkreślał pan referent dobrodziejstwo ogólnego głosowania, ustroju demokratycznego, na zupełnej równości opartego. Mówił o prawie ludu do rządu, o Polsce ludowej, o rozwoju ekonomicznym (sic!) o hasłach nowoczesnych, o wolnych demokratycznych Stanach Zjednoczonych, o Lidze Narodów... wreszcie o telefonach i kinematografach, które samorządy mają zaprowadzić...

Zmierzch zapadał, gdy skończył mówić... i gdy wszyscy doznali uczucia ulgi, wyzwolenia... — skończone!

— Nie! — nie skończone... bo oto wstał Dymid Sawczuk i ku ogólnemu zdziwieniu wygłosił: „Stawiam wniosek, żeby wysłać depezę dziękczynną do pana Ministra spraw wewnętrznych z wyrazami naszej wdzięczności za łaskę wprowadzenia samorządu.”

Tu pan Ostyk nie wytrzymał i dodał:

— I za znakomity rezultat wyborów do Sejmu.

Był to cios straszny, nieoczekiwany. Wybory do Sejmu były, jak wiadomo, hańbą onego ministerjum, skandalem przed sumieniem Polski i Europą.

Cios należało natychmiast parować za każdą cenę, poświęcając choćby prawdę.

— Wybory się nie udały! — krzyknął pan referent, dzięki wmieszanemu się ósemki-prawicy; a chyba jest jasne, że nie na to wprowadza się pięcioprzymiotnikowe głosowanie, żeby jakaś tam jedna partja mogła wicherzyć. — I zwracając się z przemiłym uśmiechem do Dymida Sawczuka, dodał:

— Depesza dziękczynna?... Świetny pomysł!... Kto za tem?

Wszystkie ręce podniosły się, prócz ręki pana Ostyka.

— Kto przeciw?

Znowu ręka pana Ostyka zadrżała i głos jego urwał się złamanym akordem:

— To świadome fałszowanie opinii publicznej!

Ale nikt go już nie słuchał, bo po słowach Starosty: „Posiedzenie zamknięte” — ruszyli wszyscy... radzi, że się kosztowna w rezultacie, to jest opodatkowaniu „komedja” skończyła.

Zabierał się i pan Ostyk ku wyjściu. Instynkt go jednak ostrzegał, że ostatnie, decydujące starcie go czeka. Szedł spokojnie do sieni, gdzie radni szukali czapek i ćmili papierosy. Dochodził już pan Ostyk do drzwi, wiodących na ulicę, gdy

usłyszał za sobą głos referenta Męcika i ujrzał stojącą za nim grupę ludzi. Kto stał tam, nie obchodziło to go nic.

Zaczepek brzmiała:

— Winszuję panu iście wspaniałego odosobnienia.

Pan Ostyk zatrzymał się, spojrzał napastnikowi spokojnie w oczy i wymierzył cięcie:

— Osamotnieni byliśmy my w roku 63, gdyśmy walczyli za wolność, osamotnionym dziś w gronie—niewolników!... I wyszedł...

Szedł środkiem długiej ulicy. Ruch w miasteczku ustał. Świecił księżyc... dolatywał zapach rozkwitających bzów... Obejrzał się... ktoś szedł za nim... nie, to było złudą... szedł dalej... stanął... czuł się niezmiernie zmęczonym...

W istocie ktoś szedł za nim. Był to Wincenty Jaroszewicz, obok niego zasiadający na ławie w ornej sali.

— Panie Ostyk, — zaczął — kiedyś ja znał takich panów... wielkich panów!

Instynkt mówił: „Ostatni promień,... ostatni, pożegnalny pocałunek przeszłości...” więc pan Ostyk stał, słuchał, patrzył...

— Mój ojciec nieboszczyk był leśniczym w Snowidowie, tam, gdzie mego pana i panicza wzięli.

— Wiem...—wymówił głucho...—pamiętam..

— Ja byłem przy ogrodzie... potem... jak pani była sama. Uczyła mnie czytać, pisać... Pamiętam, raz siedziałem w jej pokoju i pisałem. Wszedł lokaj i melduje, że przyjechał „czynownik” i że chce inwentarz spisać, bo — mówi, po śmierci pani wszystko do „kazny” wróci.

Pani zbladła... aż tu drzwi się otwierają i „czynownik” wchodzi, jakby to do jakiej karczmy. Pani wstała... była w czarnej sukni... pamiętam... z białym naszykiem przy spódnicy... Wstała... głowę podniosła... potem ręką drzwi wskazała i cicho powiedziała: „precz!”... tamten uciekł, że czapki w przedpokoju zapomniał...

— Mówcie, mówcie!... — szeptał Jerzy Ostyk... i szli środkiem ulicy przez miasteczko...

— Pani mnie do szkoły ogrodniczej oddała, dlatego też ja nigdy, panicza nie widziałem po powrocie z Sybiru. Potem przyjąłem obowiązek jako ogrodnik, ożeniłem się. Ojciec pisał, że jak pani umarła, majątki zabrali, tylko ojcu nie zabrali tu, w Hańsku ziemi kawałka, co mu pani przed śmiercią darowała: „Mówcie, Wincenty, że to zawsze wasze było, to może wam nie zabiorą — mówi — plany placów w Hańsku u proboszcza; wszystkie — mówi — sługom wiernym daruję z prośbą, aby pamiętali o mojej duszy i mężu. Żeby tylko moskale placów tych z mająt-

kami nie zabrali — mówi. Nie zabrali, panie Ostyk,... a pan może jaki krewny?

Dochodzili do kościoła. Wieże cudnie się na szafirze nieba rysowały, lśniły złote krzyże na ich szczycie, jak w dzień widniał napis:

„GEORGIUS OSTIK, VEXILLIFER M. D. L. ANNO  
DOMINI 1651 AEDIFICAVIT”.

Pytanie pozostawało bez odpowiedzi.

— Widzi pan — mówił znowu Wincenty Jaroszewicz, — dom Boży poprawiać będą... przywieźli dziś cegłę, wapno, drzewo na rusztowania...

Okrzyk jakiś wyrwał się z piersi pana Ostyka. Okrzyk brzmiał jak „Alleluja!”... i szedł on powol na cmentarz.

— Dokąd pan o tej porze?

— Na grób matki.

Teraz Wincenty Jaroszewicz zrozumiał. „Jezus Marja!” — krzyknął — „to nasz Hołowczyński panicz!... i bez czapki, jak skamieniały, patrzył w stronę odchodzącego. Po chwili cichutko stąpał koło kościoła i znowu stanął, gdy zobaczył „swojego panicza” klęczącego, pochylonego na głaz wystający...

Cofnął się i, szepcząc „Anioł Pański”, szedł do domu.

## VI.

— Ależ długo dziadzio radził na tym sejmiku, mówiła mu wnuczka, witając, dawno czekamy z wieczerzą.

Siedli do stołu: on, syn, synowa, troje wnuków. W domu było schludnie, prawie dostatnio.

— Jakżeż tam było? — zagadnął syn — podatki zmniejszeją?

Ojciec machnął ręką.

— Jak mają zmniejszać, kiedy nowych urzędników nastąpi aż siedmiu!

—Tfu! — splunął syn.

— Powiem wam nowinę — ciągnął stary — wiecie kogo widziałem?... Hołowczyńskiego panicza!

Lecz syn, synowa i wnuki doniosłości tej nowiny nie odczuli. Co ich mógł obchodzić jakiś „panicz”, którego nie znali.

— Prawda! — mówił dalej stary — wy —

inni ludzie, inne pokolenie... Co to były za pany...  
toż prawie cały powiat do nich należał!

Na to wnuk, Ignas, który do szkoły od trzech  
lat uczęszczał, rzekł niechętnie: „Wielkie były  
burzuję!... dobrze, że ich niema!

Stary aż się zachnął:

— Stul pysk, — powiadam — co ty wiesz?...  
Burzują to ty może widział, ale pana i może nie  
zobaczysz. Ot, czego ciebie uczą w szkołach! Że-  
byś ty wiedział, co to dawniej było, przed po-  
wstaniem, kiedy jeszcze i po polsku było i po Bo-  
żemu!... co za życie!

Syn ujął się za Ignasiem.

— On się uczy, ma dobre stopnie... Da Bóg,  
będzie z niego urzędnik... pan, jak tamci, któ-  
rych ojciec tak żałuje.

— Cha, cha! — wybuchnął stary — mało to  
jeszcze urzędników! będzie ich wkrótce więcej,  
niż ludzi w kraju!

Tu zwrócił się do syna i synowej. Twarz jego  
nabrała wyrazu srogiego... mówił dobitnie, sta-  
nowczo :

— A wy, żebyście pamiętali, że to wszystko,  
co mamy: dom, ziemię, ogród... to wszystko; co  
ja umiem... kto dał?... kto nauczył?... Jaśnie pań-  
stwo z Hołowczyna, wieczny im pokój!



— To ojciec, by chciał... — zaczął mniej śmiało już syn.

Lecz tamten nie dał mu skończyć:

— Uczy się w szkole? — mówisz — zobaczymy, czego jego tam w szkole nauczą. Ja widzę że lasy Hołowczyńskie „odbudowa” już wytrzebiła,... a szkołę to zremontowała?... może dach nie cieknie?... może okien nie brakuje?... a lasu wiele wywieźli Bóg wie gdzie?... Dawniej jeden dziedzic potrafił wystawić i kościół, co po dziś dzień stoi i pijarskie szkoły, a teraz dziur w dachu szkolnym nie potrafią połatać, choć całe lasy już wycięli!... Co tu mówić!... A jak był Hołowczyn...

Syn przerwał.

— Jakto, jak był Hołowczyn... ziemia nie zaprzepaściła się...

— Gadasz, jakbyś rozumiał, a nic nie rozumiesz. Jak był pan w Hołowczynie, pan Ostyk naprzód, potem pan Andronowski, to jeden taki pan wystarczał na to, żeby kościół i szkoły i fabryki pobudować. Był ruch, bo była głowa, — był zarobek, bo była dobroć, zrozumienie potrzeb. Oni mieli... i nam dali... a teraz... nakładają podatki za podatkami, a w szkole cieknie!

Tu się zwrócił do wnuka i rzekł:

— Otwórz gębę i mów, czy cieknie?

— Cieknie — potwierdził Ignas.

— Hanka, — zwrócił się teraz do wnuczki, — jak świt, wstaniam, poniesiem na rynek sałatę, ogórki, szparagi. Wybierzesz najpiękniejsze do małego koszyka i zaniesiem dla Hołowczyńskiego panicza... Teraz spać!

## VII.

I szli wczesnym rankiem, dziadzio i wnuczka, niosąc dwa wielkie kosze ogrodowizn i koszyk dla onego „panicza” przeznaczony. Skowronki dały się, rosy lśniły, słońce grzało...

— Dziadziu, a ten panicz to piękny, młody?

— Durna jesteś, Hanko; panicz był młody wtedy, jak dziadzio był młody. Ale panicz paniczem zostaje, choć stary. Boże mój! — ciągnął — dziś biedny,... a prawnuk Wojewody, co to mówili, z carem wojował!

— Wojewody? — to Wojewoda tu mieszkał, w Hańsku?

— W Hańsku i w Hołowczynie, a pochowany tu.

Podchodzili do wrót kościelnych.

Z przeciwnej strony szedł młody wojskowy, ułan, jak malowanie. Szedł z dworku, w którym zastał zaniepokojoną stróżkę: pan Ostyk od wczo-

rajszego ranka nie wrócił, w domu nie nocował. Instynkt kierował rotmistrza ku kościołowi.

A podchodząc do wrót cmentarnych, mówiła Hanka:

— Dziadziu, ja chcę zobaczyć grób Wojewody.

W jej wyobraźni Wojewoda musiał zawsze siedzieć na koniu, nosił czerwoną aksamitną delję i srebrną zbroję.

— Dobrze, dziecko, chodź... pomodlimy się...

Weszli jednocześnie na dziedziniec kościelny. Murarze stawili rusztowania. Młody chłopiec w czapce żołnierskiej nucił: „Kiedy ranne wstają zorze”. Postawili koszyki pod ogrodzeniem i stąpali cicho, w skupieniu, okrążając kościół. Za Jaroszewiczami szedł zamyślony rotmistrz.

Nagle wszyscy troje stanęli: przy ścianie grobowca, nad głazem wystającym w pół pochyłony, martwy klęczał Jerzy Ostyk.

Padł przy nim na kolana stary Jaroszewicz... łzy kapały mu z oczu i usta drżały...

„Wielu snem śmierci upadli,  
Co się wczoraj spać pokładli...  
My się jeszcze obudzili,  
Byśmy Cię, Boże, chwalili”.

śpiewał młody murarz, pierwsze wprawiając cegły.

W rozpoczęciu dziś pracy nad odnowieniem kościoła dojrzał rotmistrz symbol odrodzenia, wznowienie jakiejś ogromnej tradycji, myśli i posłannictwa. Przypomniał sobie ostatnie słowa tego, który teraz zastygły, spokojny, pogodny klęczał...

— Służyć krajowi hartem wiary, hartem ducha i charakteru, hartem stali!...

Nagle błysnęła w słońcu wyciągnięta z pochwy szabla.

Ślubował li rotmistrz temu domowi Bożemu, przed którym stał, czy sztandarowi polskiemu, któremu służył, czy tej szabli, którą dzierżył i która była jego czcią i czynem, czy łąkom zielonym i błękitnej, kresowej dali?...

A słowa aktu fundacyjnego w ustach jego nowego nabierały życia, nowej mocy, powagi i trwałości:

„WE WSZECH DNIACH NAWIEDZENIA  
I WŹDY  
SKUPIAJĄC PRZY SOBIE WIERNYCH,  
JAKO OPOKA I TWIERDZA, NA SZLAKACH  
BARBARZYŃSTWA POSTAWIONA  
OSTAWAJ.”

Styczeń 1925 r.

**INSTYTUT  
BADAŃ LITERACYJNYCH PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat No. 72

00-330 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42









<http://rcin.org.pl>

F

2886